

Białe konie z Horbatki

„Niedaleko wsi Branków widnieje wzgórze zwane Horbatką. Nikt nie wie, skąd się wzięła ta dziwna, obco brzmiąca nazwa. Być może nadali ją dawni mieszkańcy tych ziem, wszak wędrowały tędy różne ludy, różne plemiona.. Starsi ludzie z tych okolic pamiętają, że u stóp pagórka znajdowały się niegdyś mogiły żołnierzy poległych w czasach różnych wojen. Nikt nie znał imion poległych, nikt nie wiedział, gdzie i kto oplakuje zabitych. Sam kształt Horbatki i jej usytuowanie mogą sugerować, że w zamierzchłych czasach był to kurhan, w którym pochowano wodza jakiegoś plemienia. Jego duch miał strzec tych ziem i spoglądać w dal, ku lasom rozległym i wodom bystrego nurtu Pilicy.

W długie zimowe wieczory, w dawnych czasach, w wiejskich chatach zbierali się ludzie i w ciepłej izbie, przy blasku lampy naftowej, słuchali opowieści o strachach, dziwach i duchach. W Brankowie szczególnie często mówiono o niesamowitych postaciach i zjawach na wzgórzu. Ktoś widział np. postać Matki Boskiej Różańcowej, ktoś inny straszne zjawy, ale najczęściej w opowieściach pojawiały się różne zwierzęta. Dziś nikt nie opowiada wieczorami ani baśni, ani legend. Na wszelki wypadek jednak lepiej nie zbliżać się nocą do tajemniczego wzgórza.

Przekonał się o tym podobno niejeden podróżny czy przechodzień. Niektórzy mieszkańcy Brankowa i okolicznych wsi mówią, że na szczycie wzgórza widywano nocą niezwyklej urody białe konie i każdy, kto je ujrzał, miał tylko jedno pragnienie – schwytać je i dosiąść. Nikomu się jednak to nie udało, choć wielu próbowało. Były nieuchwytnie jak marzenie.

Doświadczył tego pewien mieszkaniec Brankowa. Wracając nocą do domu usłyszał nagle tętent końskich kopyt. Zatrzymał się i ze zdumieniem obserwował jak tuż koło niego przemknęły dwa śnieżnobiałe rumaki. Ponieważ miał przy sobie gruby sznur, zamachnął się i próbował niczym na lasso schwytać jednego z nich. Ale trud był daremny. Cudowne rumaki mknęły jak wicher, ich grzywy rozwiewał pęd powietrza, a potem znikwały w oddali, jakby rozpływały się we mgle. Jeden z nich był większy, drugi mniejszy. Daremnie pędził za nimi ów człowiek na szczyt wzgórza, ale kiedy tam dotarł, nie było po nich śladu, tylko srebrna poświata księżycyca oświetlała całą okolicę.

Następnego dnia wybrał się na wzgórze, by przy dziennym świetle dokładnie obejrzeć to miejsce. Wydawało mu się, że dostrzegł ślady końskich kopyt, które miały różną wielkość. Marzenie o schwyтaniu tajemniczych i pięknych rumaków towarzyszyło mu potem długie lata, nigdy jednak już ich nie zobaczył, chociaż zachodził czasem na Horbatkę.”

Daremny wysiłek

„Stara opowieść zasłyszana i zapisana w XIX wieku głosi, że we wsi Magierowa Wola był ogromny dół. Przeszkadzał on mieszkańcom wsi, utrudniał poruszanie się po niej, szczególnie w czasie żniw, kiedy z pól zwożono zbiory. Postanowili go zasypać. Zwożono ziemię furmankami i niejednokrotnie wszyscy pracowali w pocie czoła od świtu do nocy. Kiedy wydawało się, że cel został osiągnięty, raptem z hukiem otwierała się czeluść i ziemia znikła w głębinie, a dół jak był głęboki, taki pozostawał.

Starzy ludzie, którzy pamiętali dawne czasy, tłumaczyli pracującym przy zasypywaniu zapadliska, że nie warto się wysilać, bo to miejsce jest przeklęte, więc na nic będzie każdy wysiłek. Opowiadali, że dawno temu wielu mieszkańców Magierowej Woli zamiast iść do kościoła w Konarach, latem zbierało się w tym miejscu. Był tu bowiem duży plac, wokół którego rosły drzewa dające cień. Niejednokrotnie dochodziło tu do bójek i wyzwisk. Zdenerwowany ksiądz początkowo upominał nieposłusznych parafian, groził karami piekielnymi, a kiedy i to nie pomogło, pewnej niedzieli widząc, że znów brakuje ich wielu, rzucił przekleństwo na miejsce, gdzie się zbierali. W tym momencie cały plac zapadł się tworząc ogromny dół. Czy dziś zapadlisko istnieje, nie wiadomo. Może warto sprawdzić.”

Kościelne wzgórze

„Nieopodal wsi borowe wznosi się porośnięte lasem dość strome wzgórze. U jego stóp rozciągają się łąki, a dalej widać krętą wstęgę Pilicy. Kiedyś, dawno temu, dziś już nikt nie wie, jak dawno, na szczycie tego wzgórza wznosił się ogromny murowany kościół. Widać go było z daleka na wiele kilometrów, a wieże lśniły w promieniach słońca, jakby były ze szczerego złota i wydawały się sięgać obłoków. Każdy, kto patrzył na niego, sądził, że przetrwa on wieki.

Na jednej z wież był dzwon tak wielki, że w całej Polsce trudno było znaleźć podobny, a kiedy dziadek kościelny pociągał za sznur i rozkołysał jego serce, rezlegał się dźwięk tak donośny, że każdy gdzie stał, padał na kolana, nawet w błoto i odmawiał pacierze, bo myślał, że sam Bóg do niego przemawia. W niedziele, nawet, ci, którzy nie zamierzali iść na mszę, słysząc bicie dzwonu szli do kościoła. Wiejscy pastuszkowie opowiadali, że bydło na polu przestawało się paść i odwracało głowy w stronę, skąd płynęły dźwięki.

Do parafii należało dużo wsi, a kiedy był odpust, to takie tłumy przychodziły, że trudno było zliczyć wszystkich. Każdej niedzieli schodzili się ludzie z odległych stron. Wielu spóźniało się na mszę, a szczególnie często zdarzało się to pewnej dziewczynie, która mieszkała daleko za Pilicą. Zawsze bardzo się starała wyjść wcześniej, ale zdążyć zwykle nie mogła. Bardzo ja to martwiło, bo ksiądz głosząc kazania mówił, że kto nie chodzi do kościoła lub spóźnia się na msze – to zasłuży sobie na ogień piekielny.

Pewnego razu, kiedy znów przyszła zbyt późno, ze złości, że poniesie karę w piekle wykrzyknęła patrząc na kościół; „Bodaj żeś się zapadł”/ w tym momencie zahuczało, zaszumiało, wzgórze zadrżało i ogromna świątynia wraz z modlącymi się w niej ludźmi zapadła się pod ziemię.

Ogromna rozpacz ogarnęła mieszkańców okolicznych wsi. Nie było chaty, w której nie oplakiwano by bliskich. Na miejsce tragicznego zdarzenia przybywali ludzie z odległych stron, ale nikt nie śmiał poszukiwać zaginionych. W okolicy mówiono o siłach nieczystych, szeptano też, że ci, których pochłonęła ziemia, modlą się o pomoc dla potępionych dusz.

Minęły lata. Ludzie zapomnieli o tym wydarzeniu. Bujne krzewy i trawy porosły kościelne wzgórze. Pewnego dnia dziedzic tych włości, gdzie niegdyś był kościół, kazał parobkowi zaorać leżącą odłogiem ziemię. Koń ciągnący lemiesz z trudem przedzierał się przez zachwaszczoną ziemię. Wtem coś zachręściło pod ostrzem, to pług zahaczył o czubek wieży kościelnej. Zmęczony pracą oracz zaklął, sądził bowiem, że zaczął o kamień. W tym momencie zajęczał ukryty pod ziemią dzwon i kościół jeszcze głębiej pogrzyżył się w czeluściach ziemi. Przerażony parobek padł na kolana, zaczął się modlić, a potem z krzykiem pobiegł do dworu.

Mijały lata, na szczycie góry, w miejscu, gdzie niegdyś podobno stał kościół, powstał głęboki dół, w którym zawsze była woda. Brzegi tego zapadliska obrastają dziś bujne krzewy rokity, a ostre gałęzie jeżyn bronią swymi kolcami dostępu do tego miejsca, jakby nie chciały nikomu powierzyć tajemnicy sprzed wieków. Wokoło rośnie gęsty, wysoki las sosnowy, rzucając głęboki cień, który budzi niepokój wśród tych, którzy tam zachodzą. Pamięć o kościele przetrwała i nawet najmłodszy mieszkańcy Borowego znają legendę sprzed lat i potrafią wskazać leśne wzgórze, o którym ona opowiada.”

Nad Zatonią

„Tu nad brzegiem Pilicy, która bystrym nurtem toczy swe kapryśne wody, rozłożyła się wieś Ostrołęka. Przed dwustu niemal laty właścicielem dworu i panem żyjących tu chłopów był okrutny i bezwzględny szlachcic. Miał on piękną żonę i syna o imieniu Miłosz, ale nawet tym najbliższym członkom rodziny nie potrafił okazać uczucia i żądał, by wszyscy byli mu posłuszni.

Właśnie zaczęły się wakacje i z dalekiego miasta powrócił po ukończeniu nauki młody panicz. Stęsknił się do rodzinnego domu, do pięknej okolicy, gdzie spędził szczęśliwe dzieciństwo, więc rankiem wybiegł na ganek, rozejrzał się wokoło i podążył nad rzekę, by znów ujrzeć jej wody. Pamiętał, że tuż za księżnym ogrodem znajduje się dom rybaka przewożącego ludzi na drugi brzeg Pilicy. Jakież było jego zdumienie, gdy na rybackiej łódce zobaczył piękną młodą dziewczynę, która zapraszała go do łódki.

Podczas przeprawy Miłosz dowiedział się, że dziewczę ma na imię Jagoda, jest córką przewoźnika i często pomaga ojcu przewożąc podróżnych. Ciężka to praca, wymaga nie tylko sił, ale i umiejętności, bo rzeka ma ostre, zdradliwe wiry i bystry nurt. Ale ona kocha to zajęcie i jest szczęśliwa, że może pomóc rodzicom. Miłosz opowiadał jej o nauce w dalekim mieście, o dziwnych, innych obyczajach, o kolegach i wesołych zabawach.

Potem młodzi spotykali się codziennie, upływały dni i tygodnie a oni nie mogli się nacieszyć swą obecnością. Wieczorami spacerowali brzegiem Pilicy, młodzieniec zrywał kwiaty, a Jagoda wplatała je w swoje piękne warkocze. Przy blasku księżycy pływali łódką po srebrnych, połyskliwych falach rzeki i snuli marzenia.

Pewnego dnia Miłosz powiedział Jagodzie, że pragnie, by została jego żoną, bo nie wyobraża sobie już życia bez niej. Dziewczyna struchlała z przerażenia, wiedziała bowiem, że dziedzic nie zgodzi się nigdy na związek syna z poddanką, córką pańszczyźnianego chłopca. Tłumaczyła swemu miłemu, że z jego planów wyniknie tylko wielkie nieszczęście dla obojga. Daremnie. Miłosz był nieustępliwy.

Następnego dnia powiadomił ojca o swym zamierzeniu. W odpowiedzi usłyszał chrapliwy, szydery śmiech i słowo – nigdy. Nie zdarzało się bowiem, by syn dziedzica pojął za żonę córkę chłopca, traktowanego jak niewolnik, jak rzecz. Rozżalony młodzieniec nie krył rozpaczy, ale upór ojca był tak silny, że zrozumiał, iż nic już nie pomoże.

Tymczasem, następnego dnia dziedzic rozkazał przyprowadzić Jagodę do dworu. Stwierdził, że panicz nie musi żenić się z chłopką, wystarczy, że zamieszka ona z nim we dworze, bo i tak jest jego własnością. Jagoda – z rozpaczą w sercu szukała ratunku u matki Miłosza. Niestety, niewiele mogła ona pomóc dziewczynie, by ją uchronić przed hańbą. Ponieważ syn nadal trwał w postanowieniu, że weźmie ślub z dziewczyną, ojciec postanowił, że sam się „z nią zabawi”. Kiedy zbliżał się do siedzącej samotnie w pokoju Jagody, ta niw widząc z nikąd ratunku, wyskoczyła przez okno, z płaczem pobiegła na urwisty brzeg Pilicy i rzuciła się w jej bystry nurt. Zamknęły się fale nad śliczną Jagodą, dając jej schronienie przed okrutnym panem

Zrozpaczony Miłosz nie umiał pogodzić się ze śmiercią ukochanej, z okrucieństwem ojca i pewnego dnia na jej grobie odebrał sobie życie. Pochowano go tuż koło mogiły Jagody.

Mieszkańcy Ostrołęki przez długie lata opowiadali, że w księżycowe noce widywano cienie dwojga młodych ludzi trzymających się za ręce błądzących nad brzegiem rzeki.

Tymczasem pan wiódł nadal hulaszcze i rozpustne życie. Niezbyt się zmartwił śmiercią syna, nie interesowała go rozpacz i smutek żony. Pewnego dnia nad Ostrołęką rozszalała się potworna burza. Granatowe niebo przecinały błyskawice a huk piorunów ogłuszał i niósł się szerokim echem nad wodami Pilicy. Od jednego z nich stanął w płomieniach dwór, a potem od niego zapaliły się zabudowania gospodarcze. Płomienie wzbijały się wysoko w niebo, nikt nie próbował ratować dobytku, panowało bowiem przekonanie, że uderzenie pioruna, to kara niebios i nie wolno przeszkadzać w jej egzekwowaniu. Z płonącego dworu wybiegła żona dziedzica i na środku podwórza, w błocie, zobaczyła szerniałe, na pół zwęglone od uderzenia pioruna zwłoki swego męża. Daremnie rozglądała się wokoło w poszukiwaniu kogokolwiek, kto mógłby przenieść ciało. Ale wszędzie było pusto, tylko deszcz szumiał i gasił płomienie. Ostatkiem sił nieszczęsna kobieta zaciągnęła trupa męża do starej łodzi i wypłynęła na środek rzeki. W miejscu, gdzie niedawno utonęła Jagoda, wiry zakręciły łódką i woda pochłonęła matkę Miłosza i trupa jego ojca. To miejsce nazwano Zatonią.

Jesienną porą nad mokradłami snują się smagane wichrem duchy złego pana i jego żony.”

Piękna kasztelanka

„Przed wielu laty, za panowania króla Jana Kazimierza, żył w Nowej Wsi możny i znany ze swej surowości pan. Piastował on kasztelański urząd królewski, miał wielu przyjaciół i krewnych, ale Bóg nie dał mu syna, który w przyszłości mógłby dziedziczyć imię i bogactwa rodu. Miał tylko jedną córkę, jasnowłosą, błękitnooką, piękną Halszkę. Kiedy dziewczyna dorosła, ojciec postanowił, że poślubi ona jego przyjaciela, zamożnego, ale wiekowego już wojewodę.

Halszka tymczasem oddała już swe serce innemu, młodemu i dzielnemu rycerzowi z pancernejszej chorągwi. Daremnie dziewczyna płakała, daremnie narzekała na swój los i błagała ojca o zmianę decyzji. Kasztelan był nieubłagany.

Zbliżał się czas wesela, ślubna suknia panny młodej była gotowa, we dworze trwały przygotowania do przyjęcia ogromnej liczby gości. Gwar i wrzawa rozlegały się wszędzie, tylko na twarzy Halszki gościł smutek.

Nadszedł dzień ślubu. Rojno i barwnie było na dziedzińcu. Przez szeroko otwartą bramę wjeżdżały kolasy pełne gości, wesóło trzaskały bicz, rżały konie ozdobione pióropuszcami. Z otwartych okien dworu dobiegał śmiech, gwar rozmów i wesółe dźwięki kapeli. Na ganku wsparty pod boki stał kasztelan i jego przyszły zięć – wojewoda i witali nadjeżdżającą szlachtę. Narzeczoną dumnie podkręcał siwego węża i co chwila spoglądał na drzwi panińskiej komnaty, z której lada chwila powinna wyjść narzeczoną, by powitać gości.

Daremnie wypatrywał jej ojciec i przyszły mąż, wreszcie zniecierpliwiony kasztelan wszedł do panińskiego pokoju, by przyspieszyć jej pojawienie się. Cóż zobaczył? Pokój był pusty, tylko na poręczu krzesła wisiała ślubna suknia. Wybiegł zdenerwowany i zaczął wypytywać służebne dziewczęta i wszystkich wokół – co się stało z Halszką. Nikt nic nie wiedział, nikt jej nie widział. Pojął kasztelan, że jego córka uciekła, chcąc uniknąć ślubu ze starym wojewodą, którego nie kochała.

Wybiegł z domu i zobaczył stajennego pacholka, który wracał z miasta. Zapytany czy widział kasztelankę – wyznał, że z daleka, pod lasem dostrzegł, jak jakiś rycerz wioził na koniu młodą kobietę i że wjechali w leśną gęstwinię. Na te słowa wbiegł kasztelan do gościnnej komnaty, gdzie tłumnie zebrali się weselni goście i wezwał ich, by wyruszyli w pościg za uciekinierką i przywieźli ją żywą lub martwą. Urażona duma kazała mu zapomnieć o miłości do własnego dziecka, nieważne było uczucie Halszki, dominowało poczucie zemsty, nawet za cenę życia córki.

Wybiegli więc goście na dziedziniec, dosiedli koni i pognali po błoniach i polach, dotarli do lasu i zniknęli w leśnej gęstwini. Na ganku dworku czekali ojciec i narzeczoną. Po pewnym czasie pościg powrócił i przywiózł zemdloną Halszkę. Otoczyły ją kobiety, zaniósły do niewieścich komnat, by ocucić, przyodziać w ślubny strój i zaprowadzić do ojca. Tymczasem, daleko, na kwiecistej polanie, nad brzegiem ruczaju spoczywał zboczony krwią trup młodego rycerza, który ośmielił się pokochać i porwać kasztelańską córkę.

A Halszka, zostawiona na chwilę sama w swej komnacie, wykradła się cicho do ogrodu. W dłoni trzymała ostry i lśniący sztylet. Długo patrzyła w stronę gwarnejszego dworu, potem spojrzała tam, gdzie na horyzoncie widniała linia ciemnego lasu i gdzie zabito jej ukochanego. Ze szlochaniem wbiła ostrze sztyletu w swe serce, nie chciała bowiem żyć u boku starego wojewody.

Tam gdzie padła martwa, wykopano dla niej mogiłę. Niedługo na grobie wyrosła biała brzoza. Smukły jej kształt przypominał śliczną postać Halszki, o której przez lata krążyły opowieści wśród mieszkańców okolicznych wsi.

Minęły stulecia, brzoza nadal szumiała niedaleko dworu, wokół którego rozciągał się piękny park. Powoli pień jej próchniał, nawałnice łamały konary, ale trwała na straży mogiły nieszczęsnej Halszki. U jej stóp, wiele lat później, wzniesiono tu kapliczkę, którą brzoza osłaniała swym cieniem i przypominała tragiczne dzieje pięknej kasztelanki.”

Rycerska przysięga

„Radosne i głośne okrzyki niosły się szeroko po nadpilickich błoniach pokrytych grubą pokrywą śniegu, po którym pędziły sanie ciągnięte przez parę silnych koni, a obok mknęło kilku młodych jeźdźców. Wesoło trzaskały bicze, a echo śmiechów niosło się daleko i odbijało od ciemnej ściany lasu.

Coraz bliżej widniały zarysy sporego, dobrze obwarowanego siedliska, wokół niego zaś usadowiły się chaty i inne zabudowania, wśród których panował ożywiony duży ruch. Widocznie zauważono zbliżającą się, długo oczekiwaną, gromadę. Wszystkie domostwa ożyły, na wałach pojawili się ludzie, wymachiwali rękoma i radośnie krzyczeli, a potem wybiegli naprzeciw pędzącej grupie jeźdźców.

Wreszcie obie grupy spotkały się i radość nie miała granic, bo właśnie do swej siedziby powracał po długiej nieobecności młody rycerz, właściciel Palczewa. Siedział on teraz w saniach otulony niedźwiedzimi futrami, a na wymizerowanej, wychudłej twarzy widniał szczęśliwy uśmiech. Oto jest w rodzinnym domu, spogląda na twarze bliskich mu ludzi, słyszy wokół siebie radosne powitalne okrzyki. A tak niewiele brakowało, by nigdy już tego nie zobaczył.

Uszczęśliwieni mieszkańcy Palczewa ściskali jego dłonie, a potem wnieśli go na ramionach do ciepłej, dużej izby, w której pachniało gałkami jedliny, zatkniętymi w ściany i smakowitym jadłem, wnoszonym właśnie i ustawianym na podłużnych stołach, wokół których stały długie ławy. Przyjezdnego posadzono na honorowym miejscu i namawiano do jedzenia. A on tymczasem rozglądał się po izbie, wdychał zapach jedliny i potraw ustawionych na stole. Widać było, że jest wzruszony i szczęśliwy pod miarę. Powtarzał ciągle: „witajcie, witajcie”, jakby witał nie tylko obecnych, ale i duchy zmarłych przodków i ściany rodzinnego domu, w którym spędził szczęśliwe lata dzieciństwa. Wokół zasiadła starszyzna grodowa, a do izby ciągle wchodzili następni, kłaniali się nowo przybyłemu i witali z całego serca. Po zoranych zmarszczkami obliczach spłynęła niejedna łza na jego widok. Pamiętali go dzieckiem, dorastającym chłopcem, potem młodzieńcem, którego uczyli jazdy konnej, władania bronią, sztuki polowania na grubego zwierza, a potem..., potem stracili nadzieję, że go jeszcze ujrzą.

Wprawdzie już wiele tygodni wcześniej rozeszła się wieść o jego cudownym ocaleniu i rychłym powrocie pod rodzinny dach, ale trudno było uwierzyć w to, dopóki nie stawnie wśród swoich pobratymców. I oto był, siedział wśród nich, słaby wprawdzie, ale cały i zdrowy.

Po zaspokojeniu pierwszego głodu, po głośnych okrzykach i toastach – zaczęto wypytywać młodego o jego tragiczne przeżycia. Wszyscy bowiem pamiętali ten czas, gdy kilka lat wcześniej, będąc jeszcze młodzieniaszkiem, wraz z innymi polskimi rycerzami wyruszył na wezwanie papieża na wyprawę krzyżową, którą zorganizowano, by odbić grób Chrystusa z rąk Turków Seldżuków.

Wyrywał się młody rycerz na tę wyprawę, gdyż od dawna słyszał opowieści wędrownych rybaków, którzy czasem zaglądali do Palczewa i wieczorami przy dźwiękach lutni śpiewali pieśni o wojnach, wspaniałych rycerskich czynach, o dalekich krajach, bogatych miastach, kąpiących od złota budowlach, pięknych dziewczynach, ogromnych morzach, straszliwych smokach i niespotykanych przygodach. Kiedy więc

pewnego dnia dotarła do młodzieńca wieść o organizowanej przez króla, na wezwanie papież, kolejnej wyprawie – wyruszył na Wschód ze swą niewielką ale oddaną mu drużyną.

Przewędrował szmat drogi, zobaczył inne kraje, widział barwny, zupełnie inny oszałamiający pięknem świat, inne obyczaje, potem brał udział w wielu utarczkach i walkach. Wreszcie nastąpiła decydująca bitwa. Straszne to były zmagania. Po jednej stronie, ramię w ramię stanęli obok siebie, zakuci w ciężkie zbroje rycerze Francji, Italii, Niemiec, Hiszpanii i Polski, po przeciwnej zaś wojska tureckie. Bój trwał wiele godzin, ręce mdały od ciosów zadawanych potężnymi mieczami, pot zalewał oczy, zbroja paliła jak rozżarzone żelazo, bo słońce piekło niemiłosiernie. Zwinne, lekkie, tureckie koniki żwawo poruszały się po polu bitwy. Siły wroga okazały się większe niż rycerzy z Europy. Turcy nacierali bezustannie z taką zaciekłością, że w końcu szala zwycięstwa przechyliła się na ich stronę. Od uderzenia mieczem padł zabity koń naszego rycerza z Palczewa, a on sam ranny legł przygnieciony przez swego martwego rumaka.

Kiedy opadł bitewny kurz, ruszyli Turcy zbierać wojenne łupy. Rannego, osłabionego wpływem krwi zabrano młodego Polaka wraz z innymi ocalałymi z pogromu pognano w pętach do niewoli. Mimo strasznych warunków, w jakich musieli żyć jeńcy, młody organizm uporał się z ranami, które z czasem się zabiły.

Zmuszany do ciężkiej pracy, często bity, poganiany batem nie mógł pogodzić się z losem. Nocami leżąc bezsennie patrzył w obce, gwiaździste niebo i powtarzał sobie, że wróci do rodzinnych stron. Nadziei miał niewiele, ale ufał, że zdarzy się cud i znowu zobaczy zielone nadpilickie łąki, że zimą będzie pędził saniami po białym śniegu, że jeszcze pokłoni się nisko rodzinnym progom. Przysięgał Bogu, że jeśli wróci do kraju, to wybuduje i wyposaży kościół w rodzinnych stronach.

Mijały dni, miesiące, a potem lata – a on wiódł życie niewolnika. Nie tracił jednak nadziei i często powtarzał, jak modlitwę słowa: „wróć, wróć”. I stała się rzecz niesłychana, wraz z grupą jeńców został wykupiony z niewoli i oto jest w rodzinnym domu.

Minęło kilka dni i rozpoczęto zabiegi wokół realizacji przyrzeczenia złożonego w niewoli. Od folwarku Palczew została oddzielona część gruntów, które przeznaczona no bogate wyposażenie parafii i duchowieństwa. Wkrótce na dość wyniosłym pagórku wybudowano kościół, a wieś w której został on wzniesiony nazwano Wrociszewem. Jej nazwa według opowieści powstała od słów powtarzanych przez uwięzionego rycerza – „wróć, wróć”. Były one czymś w rodzaju magicznego zaklęcia, które pomogło mu przetrwać czas tureckiej niewoli.

Dziś nikt nie zna imienia owego rycerza. Było ono być może zapisane w dokumentach budowy kościoła, ale od XIII wieku przez te ziemie przeszło tyle wojsk, tyle pożarów trawiło i pustoszyło archiwa, że nikt nie jest w stanie odtworzyć wydarzeń z tamtych odległych czasów. Dawny, drewniany kościółek, zbudowany w podziękę za uratowanie życia, dawno już nie istnieje. Ten, który dziś potężną, murowaną bryłą góruje nad wsią, wzniesiony został w końcu XIX wieku (1894).”

Santa piva di Warka

„Strojnje, barwnie i wspianiale prezentował się wjeżdżający 16 VI 1596 roku do Warszawy orszak papieskiego legata, kardynała Henryka Gaetano. Karocem wiozącym papieskiego dostojnika i jego świętę towarzyszył orszak polskiego rycerstwa, które wyjechało im na spotkanie. Ulice stolicy ożywiły się pod wpływem kolorów i dźwięków, jakie towarzyszyły przybyszom. To jadący na koźle karety woźnica trąbił co sił w płucach, by rozpędzić kłębiący się tłum gapiów, łaknących zobaczyć zagranicznych gości. Orszak zmierzał na zamek królewski, gdzie legat miał przekazać panującemu wówczas w Polsce królowi, Zygmuntowi III pisma od papieża, Klemensa VIII, który chciał wciągnąć Polskę do sojuszu antytureckiego. Godnie i z należnymi honorami przyjmowano papieskiego wysłannika, ale na udział w wojnie przeciw Turkom Polacy nie mieli ochoty.

Tymczasem kardynał Gaetano rozgościł się w Warszawie. Podobał mu się ten kraj i ludzie, którzy otwierali przed nim serca. Polubił polskie potrawy, które choć bardzo różniły się od tych, jakie jadał w słonecznej Italii, bardzo mu smakowały. Szczególnie posmakowało mu piwo, produkowane w Warce. Było ono pienne, białawe, lekko szczypiące, w smaku i kolorze podobne do włoskiego wina. Nic dziwnego, że podawano je do każdego posiłku.

Minęło 9 miesięcy pobytu w Polsce dostojnego gościa. 18 III 1597 roku kardynał wyjechał do Rzymu, by zająć się innymi sprawami. Czas powoli zacierał wrażenia z Warszawy.

Aż stało się nieszczęście. Pewnego dnia ciężka choroba zmogła papieskiego dostojnika. Nie pomagały leki, stan kardynała pogarszał się z godziny na godzinę. Przy łożu chorego zebrali się dworzanie i odmawiali modlitwy za konających. Wtem kardynał, którego trawiło pragnienie z powodu wysokiej temperatury, przypomniał sobie smak napoju, który podawano mu w Polsce. Ze spierzchniętych warg wydobył się dźwięk „O, piva di Warka” (O, piwo z Warki). Klęczący w pobliżu łoża dworzanie i przyjaciele, słysząc te słowa, sądzili, że umierający modli się do jakiejś świętej, o której dotychczas nie słyszeli – chórem zawołali więc „Ora pro co” (módl się za nami).

Kardynał, mimo bólu i kłopotów z oddychaniem, słysząc słowa tej modlitwy, parsknął śmiechem. Modlitwa do wareckiego piwa, by modliło się za niego, była tak absurdalna i śmieszna, że chory, mimo cierpienia, nie mógł zachować powagi. Śmiech okazał się zbawiennym lekarstwem. Wrzód w gardle, który utrudniał oddychanie, pod jego wpływem pękł i kardynał wyzdrowiał.”

Siłacz z Ostrołęki

„O siłaczku Stanisławie Ciołku rodem z Warki, ale osiadłym w Ostrołęce, w XIV wieku słyszała niemal cała Polska. Wieść o jego niebywalej sile dotarła nawet do zagranicznych dworów. Właściwie nazwisko jego brzmiało Ostrołęcki, ale znano go z zawołania herbowego „Ciołek”.

Opowiadają, że już jako mały chłopiec ”wstępował na wzgórze i wzięwszy w każdą rękę dorosłego mężczyznę, tłukł jednym o drugiego”. Kiedy był dorosły, podczas budowy młyna w Ostrołęce, wyręczył 24 mężczyzn, którzy nie mogli udźwignąć potężnej belki. Poleciał im, by podtrzymali cieńszą część, a sam chwycił za grubszą i ułożył na ścianie.

Pewnego razu, podczas pobytu w Krakowie, obserwował jak 40 ludzi usiłowało podnieść dzwon, który miał zawisnąć na wieży kościoła pw. Najświętszej Maryi Panny. Odsunął ich wówczas i sam ku podziwowi tłumu wziął za ucho i wniósł po schodach na szczyt tej wieży.

Szable, miecze i podkowy skręcał w rękę jak sznurek, wielkie noże łamał na części dwoma palcami, a grube sznury plecione z konopia lub łyka zrywał jak cienkie nitki. W gniewie też był nieposkromiony i jeśli ktoś postąpił wbrew jego woli, karał bardzo surowo, choćby to były najbliższe mu osoby. Podobno, kiedy pewnego dnia powrócił z polowania wcześniej, niż się spodziewano i zastał w łaźni dwóch swych braci ze sługami, wpadł w złość, że nie czekali na niego z kąpielą. Złapał wtedy drewniany budynek za narożnik, zakręcił, przewrócił i delikwenci ukazali się oczom zebranych na podwórku zupełnie nadzy. Stało się to przyczyną ogólnej wesołości, kpin i śmiechów.

W zapasach z 12 osobami, które chciały go przy pomocy sznurów wyciągnąć z zakreślonego szablą koła zwyciężył przyciągając je do siebie i rwąc powrozy.

Podczas pobytu w Pradze, gdy towarzyszył królowi Kazimierzowi Wielkiemu wdał się w zapasy ze słynnym czeskim siłaczem, który chciał go udusić i tak go ścisnął, że wyzionął on ducha.

W 1356 r. został wysłany przez króla do opanowanego przez Tatarów Włodzimierza Wołyńskiego. Tam podczas próby odbicia zamku został zabity. Pochowano go w Warce, w kościele pw. św. Mikołaja pod posadzką. Pozostało po nim czterech synów: Wigand, Andrzej, Stanisław i Klemens. W końcu wieku XVI wieś Ostrołęka przeszła w ręce rodziny Święcickich, ale pamięć o siłaczku pochodzącym z tej miejscowości przetrwała w ustnych i zapisanych przekazach.”

Tajemnice groty

„Jest taka aleja w parku, w Winiarach , która kryje pewną tajemnicę. Wybierając się tam na spacer trzeba uważnie patrzeć na stok skarpy, stromo spadającej ku niżej położonym łąkom i dawnemu korytu rzeki Pilicy. Wśród dziko rosnących na urwisku drzew i krzewów widać niewygodne, a gdy pada deszcz, nawet niebezpieczne, zejście do groty. Wokół tego miejsca narosło sporo opowieści. Jedni przekonują, że grotą ta kryje wejście do tajemniczych lochów wiodących aż do Czerska. W dawnych czasach istniały takie podziemne przejścia, które łączyły nawet bardzo odległe miejscowości. Służyły one obrońcą grodów do ucieczki, jeśli zawiodły wszystkie sposoby walki. Podobno korzystali z nich także książęta mazowieccy, którzy mieli w Warce jakiś niewielki zameczek i chcieli tu spokojnie spędzić czas na łowach w pobliskiej puszczy, a pobyt swój chcieli ukryć przed oczyma ciekawskich lub dybiących na ich życie. Czasy były niebezpieczne, młodzi książęta mieli podobno wielu wrogów. Nikt nie zbadał czy owe lochy rzeczywiście dochodzą do Czerska, jeśli nawet tak było, to czas zniszczył je, zapadły się i nikt już nie pozna prawdy.

Podobno też z lochów tych wydobywały się jakieś trujące opary, które bardzo dokuczały tutejszym mieszkańcom, a kiedy mgła opadała na pobliskie łąki szkodziły pasącemu się na nich bydłu. Wobec tego zamurowano wejście do lochów, pozostawiając niewielką niszę, przypominającą grotę. Po latach, kiedy w parku zdarzył się tragiczny wypadek, podczas którego zginęła, spadająca z konia, kilkunastoletnia córka właściciela pałacu w Winiarach, w grocie tej ustawiono figurkę Matki Bożej o twarzy młodziutkiej dziewczyny.

Inny opowiadają, że kiedyś z groty tej wypływało źródło cudownej wody. Nikt nie pamięta, kogo ona uzdrowiła, ale według opowieści mieszkańców Warki, to właśnie w dowód wdzięczności za powrót do zdrowia, w miejscu tym ustawiono figurkę Matki Bożej. Dziś woda z groty już nie wypływa, nie ma śladu po źródle i mało kto wie o tym wydarzeniu. Może, stare potężne drzewa rosnące w pięknym parku mogłyby opowiedzieć o tych i innych historiach, które działy się w tym miejscu, niestety, nikt z szumu ich potężnych konarów nie odczyta dawnych dziejów, które odeszły w mrok niepamięci wraz z ludźmi.”